

Leć rozłóż skrzydła

Zbiór opowiadań

MAGDA LESZEK



Copyright

Tytuł oryginatu: Leć, Rozłóż Skrzydła

Polish edition copyright © 2024 by Horyzont Słowa

Wydanie pierwsze, 2024

Wydawca: Horyzont Słowa

Pierwsza korekta: Wioletta Wichrowska

Projekt okładki: Krzysztof Leszek

Skład: Vellum

ISBN epub: 978-83-959664-7-7

ISBN mobi: 978-83-959664-8-4

Wszelkie prawa zastrzeżone. Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu w jakiejkolwiek postaci, bez pisemnej zgody wydawcy, jest zabronione.

Horyzont Słowa

E-mail: kontakt@magdaannaleszek.com

WWW: www.magdaannaleszek.com

O książce

Opowiadania Magdy Leszek są pełne uroku,
napisane pięknym językiem, ciekawe i wartościowe
pod względem treści.

Serdecznie polecam!

ALBENA GRABOWSKA

To wielki talent i sztuka pisać o smutku w
optymistyczny sposób (..) Dla czytelników
koneserów dobrej prozy poszukujących sensu w ich
świecie i życiu bardzo polecam tę książkę.

ANDRZEJ KRAKOWSKI

Dedication

Dla moich najbliższych

Bez których nie miałabym odwagi być sobą

Dla moich przyjaciół bliskich i dalszych

Za wsparcie i dodawanie otuchy w chwilach zwątpienia

Słowo wstępne

Proza Magdy Leszek wciąga od pierwszego zdania i... nie odpuszcza do ostatniej strony. „Wąłła postać oddzieliła się od ciała i poszybowała w przestrzeń. Zatrzymała się na chwilę, odwróciła jeszcze, popatrzyła przez ramię na nieruchomo leżące ciało i wyruszyła w podróż. Po raz kolejny i kolejny, bo każda podróż była końcem i zarazem początkiem następnej.”

Ta książka, ten zbiór krótszych i dłuższych opowiadań – jakże oniryczny w naturze – zabiera nas w taką właśnie podróż. Bogata w obserwację miejsc i ludzi, wciąga nas do wnętrza ludzkiej duszy, jednocześnie przywołując pustkę i nostalgię bijącą z obrazów Hoppera. To wielki talent i sztuka pisać o smutku w optymistyczny sposób. Magda Leszek robi to wspaniale. Język, którego używa, prosty, precyzyjny i niezwykle poetycki powoduje, że w mgnieniu oka potrafimy się wcielić w postać starzejącego się pisarza, bezwiewowego barmana, czternastolatka w spektrum autyzmu – a może tylko tak mi się wydaje – oraz reszty jej bohaterów i bez trudności obserwować świat ich oczyma. Nie tylko obserwować, ale przede wszystkim czuć. Fizycznie czuć. Autorka mistrzowsko przeprowadza nas przez idiosynkratyczny sposób myślenia każdego z bohaterów.

Dla czytelników koneserów dobrej prozy poszukujących sensu w ich świecie i życiu bardzo polecam tę książkę.

- Andrzej Krakowski

Reżyser, scenarzysta, producent filmowy, pedagog, pisarz i rysownik; profesor City University of New York i doktor sztuk filmowych. Laureat tytułu Wybitnego Polaka z USA w 2022 r. Autor książki "Polskie Oscary: co, kto, ile, jak i dlaczego", która zdobyła nagrodę American Book Fest.

Od Autora

Trzymasz w ręku serię opowiadań ilustrujących zmagania bohaterów, które może wydają Ci się znajome. To historie zwykłych ludzi, którzy mimo napotykanych trudności odnajdują własną drogę, by przeżyć swoje życie najlepiej, jak tylko mogą. Opowiadania, choć pozornie lekkie, pozwalające odetchnąć, zwolnić, oderwać się od szarej rzeczywistości, a jednak niepostrzeżenie wnikną w głąb Ciebie, Drogi Czytelniku, poruszą Cię do głębi i przypomną, na co w życiu warto stawiać, co doceniać i czym się cieszyć.

W nieustającym biegu przez codzienne obowiązki poszukujemy nie tylko wytchnienia, lecz także wskazówek, w jaki sposób przetrwać w świecie nastawionym na konsumpcję, rywalizację i konflikt. Zalewani potokiem negatywnych informacji, zadajemy sobie fundamentalne pytania: kim jestem? jaki jest cel mojego życia? a przede wszystkim: jak poradzić sobie z wyzwaniami dnia codziennego? Ze wstydem, unurzani w mętne wody własnej krytyki oraz bólu, tracimy z oczu samych siebie. Nasi bohaterowie zmagają się z tymi samymi pytaniami. Niektórzy z nich odnajdują odpowiedzi, inni znajdują siły, by dalej ich szukać.

Opowiadania, które trzymasz w ręku, nie dają łatwych odpowiedzi. Po te musisz udać się do poradników, których kolorową mnogość znajdziesz w księgarniach. Przewracając kolejne strony tej książki, spotkasz ludzi z krwi i kości, w których być może rozpoznasz siebie, bliską Ci osobę lub sąsiada. Historie, które zaraz przeczytasz, dotrą do Twojego serca. Nie narzucają rozwiązań, nie oceniają, ale pokazują drogę do refleksji. Zatrzymują na moment i czas, i nas samych. Głęboko poruszają, choć nie ranią, i na długo pozostają w głowach i sercach. Poruszone czułe struny motywują nas do zmiany. Jeśli lektura moich opowiadań sprawi, że zadzwonisz do kogoś bliskiego, kto nie słyszał Cię od wieków, podarujesz chwilę dziecku, weźmiesz za rękę partnera, a przede

wszystkim popatrzysz ze współczuciem i miłością na siebie, spełnią swoje zadanie znakomicie.

Epigraph

Wszystkie postaci w książce są fikcyjne.

MAGDA LESZEK

Podróżniczka

Leć, rozłóż skrzydła

Wąłła postać oddzieliła się od ciała i poszybowała w przestrzeń. Zatrzymała się na chwilę, odwróciła jeszcze, popatrzyła przez ramię na nieruchomo leżące ciało i wyruszyła w podróż. Po raz kolejny i kolejny, bo każda podróż była końcem i zarazem początkiem następnej. Zapamiętała zwiedzała odległe krainy, te egzotyczne i te zwyczajne. Lubiła to, ale też nie miała wyboru. Coś ją gnało niemal na oślep. Czuła się częstką jakiegoś większego planu, który ktoś kreślił za nią, czasem dobrze się bawiąc. Wkurzało ją to, bo nie miała wpływu na kierunek ani czas podróży i nie raz miała ochotę po prostu poleżeć ze swoim ciałem, nacieszyć się ciszą i spokojnym nicnierobieniem. Ale znów musiała gdzieś pędzić, a potem przynieść ze sobą kolejną porcję historii. Nużące zadanie, którego jednak podejmowała się z ochotą.

Tym razem poszybowała nad miastem, nad jego szarymi kominami i dachami. Nie była to miła podróż, bo z góry świat wcale nie wyglądał lepiej niż ten na dole. Był tak samo brudny i zakurzony, a zarazem pełen barw i sprzeczności. Patrzyła więc jak na zaniedbanych podwórkach bawiły się dzieci - i te, które nie miały zajęcia w domu i te, które to zajęcie znalazły ślepiąc godzinami w ekrany komputerów, telefonów i tabletów.

Całą sobą czuła rozpacz i samotność rodziców próbujących zapewnić swoim dzieciom przyszłość, w której najjaśniejszym punktem był czasem jedynie ciepły obiad. Widziała niefrasobliwość innych, którzy bez reszty zajęci swoimi karierami, zamknęli się w szklanych wieżach niedostępnych dla nikogo - także dla nich samych. Widziała wiele cierpienia, ale też i radości. Lubiła na przykład, przysiąść na parapetach skromnych domków w dzielnicy graniczącej z miejskim parkiem i zaglądać w porze kolacji przez zabrudzone szyby do niewielkich pokoi, w których zgromadzone rodziny dzieliły się przeżyciami minionego dnia. Omijała skrzętnie bogate dzielnice, gdzie pośpiech nigdy

nie wytracał swojej prędkości. Nigdy! Sama czuła, że przyśpiesza, że wir, jakaś spiralna siła wciąga ją w nieokreśloną przestrzeń obowiązków, pragnień, potrzeb i wymagań. Gdy już udało jej się z niego wyrwać, przystawała zdyszana i wyczerpana za wielkim dębem przy 7 Alei.

Lubiła ten park. Właściwie sama nie wiedziała czemu. Park jak park. Pełno w nim było rozwrzeszczanych dzieciaków w porze, gdy południowe słońce rozświecało stare drzewa. Dzieci czasem szukały ze sobą kontaktu, prostej rozmowy czy wspólnej zabawy, czasem trenowały dziwne, nie dziecięce zachowania, które podpatrzyły u rodziców. Były dumne, kiedy udało się wyszarpnąć przeciwnikowi kubełek albo uderzyć go znienacka łopatką w głowę. Dorośli wtedy wreszcie reagowali, ale tak jakoś bez przekonania, a niektórzy z lekką nutką dumy - tak przynajmniej wydawało się dzieciom.

Wokół placu zabaw skupiały się na ogół znudzone nianie, zmęczone matki, a czasem nieco przestraszeni ojcowie. Panowie z dziećmi radzili sobie całkiem nieźle, gorzej jednak z podtrzymaniem relacji z pozostałą grupą opiekunów. Nie bardzo bowiem rozumieli tą całą, misternie utkaną sieć powiązań: co? komu? i gdzie? i wreszcie kulminacyjne: po co? Sieć, którą nianie z matkami codziennie pieczołowicie rozwijały jak kwiecisty dywan. Oplatał on plac zabaw, każdy jego zakamarek: piaskownicę i drabinki, na których bawiły się dzieci, ławki na których siedzieli rodzice, trawę, po której stąpali przechodnie i nabywając magicznych właściwości wznosił się ku górze, otulając miękkim wełnianym kocem otaczające ich drzewa. Pieścił je chwilę, utulał i rozwijał się niestrudzenie dalej w kierunku parkowych alejek, aż w końcu owijał szczelnie cały park. Wznosił się nad nim, jak misternie utkany wielobarwny kilim. Każdego dnia uzupełniał swoje wzory o nowe nici, nowe aktualne wątki.

Najwięcej frajdy sprawiały wszystkim wspólne wyjścia na lody do pobliskiej włoskiej lodziarni. Dorośli zabierali swoje pociechy z placu zabaw wtedy, gdy ich krzyki, szamotanina i marudzenie przekraczały możliwy do zniesienia poziom. I to właśnie Podróżniczka lubiła najbardziej. Wraz z perłowym dziecięcym śmiechem, umorusanymi czekoladą buziami i pełnymi radości krzykami, jej energia zagęszczała się nieco,

nabierała połyskliwego złoto-perłowego koloru i wibrowała z wysoką częstotliwością drżącej rozkoszy. No bo kto by tego nie lubił!

Wieczory miały jednak inny koloryt. Park zmieniał się nie do poznania. Przez ostatnie chwile dnia pustoszał, a wraz z zachodzącym słońcem jakby zamierał na chwilę. Zastanawiał się w zadumie, co dalej. Nie za długo. Wraz ze spływającą na miasto szarością słychać było jeszcze pośpieszne kroki spóźnialskich. Zmęczone głowy zaprzątnięte długimi listami zakupów, wciąż pobrzękujące natrętnymi myślami, które uparcie nie chciały pozostać w biurach, powoli wypełniały się obrazami wspólnego z bliskimi posiłku, niewypowiedzianymi głośno tęsknotami, a czasem rozpaczą i samotnością. Ostatni przechodnie jak przemijające duchy należeli do mijającego dnia.

Park zastygł na chwilę w bezruchu, w wyczekiwaniu wciągnął głęboko powietrze, by za chwilę wybuchnąć kakofonią nowych dźwięków: szurania, pokasywania, odchrząkiwania i ściszonych głosów. Pomiedzy starymi drzewami pojawiali się nocni mieszkańcy. Są tu od dawna, odkąd jest sam park. A park jest tutaj od zawsze – zanim pojawiło się miasto, zanim pojawili się uporządkowani urbanisci karczujący część prastarej puszczy i architekci stawiający wyniosłe szklane wieże. Niewiele jednak zostało z dawnej świetności prapuszcz. Zanim przeistoczyła się w miejski park, stanowiła okazałą, rozległą rodzinę, pełną gwaru i wzajemnych, życiowych koligacji. Bogate życie, które w niej zakwitło od momentu powstania tego świata, trwa nieprzerwanie do dzisiaj. Miejsca ma teraz znacznie mniej, to prawda. Ale przetrwało. Jest i żyje dalej. I dzieli się z ludźmi swoją mądrością. Kto chce, ten słucha.

Dziwni byli ci nocni mieszkańcy parku. Niektórzy tak jak i on sam dźwigali potężny bagaż swojej egzystencji, historii, która odcisnęła na nich piętno widoczne na ich pobrużdżonych zmarszczkami twarzach. Niektóre szare, zmęczone, naznaczone wiekiem, przypominały prastare pnie otaczających je drzew. Inne nieobecne, jakby nigdy niebyłe lub zagubione w tej właśnie chwili, szukały zapomnienia w zawartości szklanych butelek, które pobrzękiwały smutno co jakiś czas, rozrywając wieczorną ciszę. Odpływały wtedy w zapomnienie, w słodki sen ułudy, z którego już nigdy nie miały się

obudzić. Jeszcze inni przychodzili do parku, by składając swoje ciała u podnóża pradawnych dębów, wsłuchiwać się w szepty, skrzypienia i pohukiwania, tworzące odwieczną opowieść; mądrość, która na wskroś przeszywała ich wrażliwe serca i dusze. Płakali pod tymi drzewami, czując olbrzymią więź z zapomnianym światem. Ci nie chcieli zapomnieć. Nie chciał też o nich zapomnieć świat, do którego od zawsze należeli. Trwali więc wspólnie w uścisku szczęśliwi, odnalezieni przez chwilę, by za moment ponownie się zagubić w świetle budzącego się poranka.

Podróżniczka zawisała nad miastem, nad parkiem. To był czas wytchnienia i harmonii.

Nocni mieszkańcy z góry, skąd na nich patrzyła, wyglądali jak dziwne, niepasujące do otoczenia egzotyczne kwiaty. Osiadły na chwilę jak motyle na zielonej plamie parku boleśnie odcinającej się od betonowego, otaczającego go świata.

Ciepły poryw wiatru gwałtownie poruszył gałęziami drzew, szepty wzmogły się na chwilę i wraz z pędem powietrza poszybowały w miasto. A ona wraz z nimi.

Kolekcjoner

Leć, rozłóż skrzydła

Nieopodal włoskiej lodziarni, w pobliżu miejskiego parku przy 7 Alei, można było natknąć się na niewielką, przytulną kawiarenkę. Trudno było ją z początku odnaleźć, a jednak wiedzieli o niej nieliczni przyjezdni i wszyscy mieszkańcy pobliskiej dzielnicy. Miała grono stałych bywalców, przychodzących przed pracą na poranną kawę i wieczorem na kieliszek czegoś mocniejszego.

W ciągu dnia, nasycone rześkim porannym światłem przytulne wnętrze, szybko wypełniało się tłumem podróżnych podążających w swojej codziennej rutynie do miejsc i spraw nie mających w zasadzie, żadnego znaczenia. Kawiarenka była wtedy dla nich przystankiem, miejscem przesiadki, zatrzymania choć na krótką chwilę. Jej atmosfera pełna pospiesznego podniecenia znanego tylko nomadom, niepokojąco przyjemnego napięcia i rześkich głosów domagających się swojej porannej porcji kofeiny, swoim ciepłym gwarem napelniała serca przybyłych. Uwielbiali jej niepowtarzalny klimat, ten ścisk, zapach czarnych mielonych ziaren i życzliwe przepychanki przy kontuarze podczas odbioru zamówienia. Polowanie na wolny stolik lub najlepiej na miejsce przy witrynie okiennej budziło do życia niejednego podróżnika. Miejsce wielce pożądane, gdyż można było z niego z niemalą satysfakcją obserwować przechodniów, którzy jeszcze nie rozpoczęli swojego porannego rytuału i oficjalnie ich żałować. Tu dzień dla każdego rozpoczynał się dobrze, na ulicy zaś zatracił się gdzieś w szarości chodników i kwaśnym zapachu mokrych ulic.

Nocne oblicze lokalu zmieniało się nie do poznania. Przystawał być grzeczną kawiarnią a stawał się rozpasanym barem. Odwiedzali go inni klienci, mieli inne potrzeby, inna energia wibrowała w jego wnętrzu. Późna pora przyciągała w to miejsce specyficzną społeczność. Jej trzon stanowili zmęczeni życiem, dziwni osobnicy.

Zazwyczaj mrukliwi, wsłuchani byli w lekką jazzową muzykę snującą się leniwie wraz z niebieskim papierosowym dymem pomiędzy zużytymi stolikami. Klienci nie przychodzili tutaj bratać się z innymi, przychodzili tu przeżyć życie w cierpliwym milczeniu, zabarwionym nieostrym, kojącym aromatem wypitego alkoholu. Czasem, w przypiływie niemej rozpaczyny zwierzali się obcym, częściej jednak siedzieli w milczeniu z rezygnacją zatopieni w swojej ziemskiej egzystencji. Można tu było także spotkać iskrzących życiem młodych, wpadających na chwilę na szybkiego drinka zanim ruszyli dalej w miasto szukając bardziej adekwatnej dla ich wieku rozrywki.

Kawiarnię w latach siedemdziesiątych założył Pisarz. Wtedy jeszcze nic nie pisał, miał tylko taką intencję. Nie wiedział jednak jak się do tego zabrać więc założył kawiarnię. Miała być miejscem, gdzie można by było posłuchać muzyki zakłętej w starych winylowych płytach, które od dziecka kolekcjonował, pograć w karty i poczytać książki przy lampce koniaku. Marzył o koncertach muzyki na żywo, granych na prawdziwym pianinie, które chciał kupić za pierwszy zysk z tego biznesu. Zysku nigdy jednak nie było, a przynajmniej nie tak duży by mógł ten plan zrealizować; książki mu ukradli klienci w pierwszym roku działalności - zresztą nie były dobre. Tak przynajmniej uważał Pisarz. Ku jego zdumieniu kawiarnia przetrwała jednak przez kilka dekad gromadząc grupę wiernych bywalców, którzy starzeli się wraz z nią i jej właścicielem. Na przestrzeni lat rozbudowała swoje nocne życie przeistaczając się w bar i stając się tym samym okolicznym fenomenem.

* * *

Pisarz nie pamiętał od kiedy stał się pisarzem. Może to było wtedy, gdy rzuciła go żona, a może w czasie, gdy córka wyjechała na studia. Głowił się nad tym tematem ostatnio, ale nie mógł sobie przypomnieć. Niemniej jednak pisał i to dobrze do lat dziewięćdziesiątych. Otrzymał kilka prestiżowych nagród, wystąpił w kilku programach telewizyjnych. Przez moment był sławny. Myślał wtedy o sprzedaży kawiarni. Nie miał na nią czasu, bowiem ten całkowicie wypełnił mu obowiązki reprezentowania świata literackiego, gdzie tylko się dało. Zasiadał nawet w kilku jury przyznających nagrody dla

młodych pisarzy. Z tej roli szczególnie był dumny. Jego opinie kształtowały bowiem gust literacki młodego pokolenia. Miał więc ten rodzaj władzy nad młodymi adeptami sztuki pisarskiej, który realnie wpływał na koleje ich życia - władzy, z której skwapliwie korzystał i którą lubił wykorzystywać. Nigdy jednak do tego głośno się nie przyznał.

Potem przestał pisać, nagle, bez wyraźnego powodu. Nie dlatego, że mu się znudziło, bardzo chciał, ale nie mógł. Nie czuł już przymusu pisania, tej wszechogarniającej chęci, napięcia, które nie pozwala spać w nocy i domaga się natychmiastowego ujścia na kartce papieru. Dwoił się i troił, ostrzył ołówki, zmieniał notesy, szukał natchnienia, gdzie się tylko dało, a nawet wypracował swój pisarski rytuał – wszystko na nic. Czuł się wyssany całkowicie z tej życiodajnej energii, która dotąd zasilala jego umysł i duszę. Po kilku latach szamotaniny zrezygnowany przyjął wreszcie do wiadomości, że jego czas jako pisarza, się zakończył. Nic już nigdy nie napisał. Spędzał większość dni w swojej kawiarni, za dnia pijąc kawę z nieznanymi i mocniejszy alkohol w nocy.

Z biegiem czasu zatrudnił baristę, Włocha o imieniu Tom, który niespodziewanie okazał się utalentowanym barmanem, mógł więc bez trudu pracować także wieczorami, serwując gościom drinki i zabawiając ich anegdotami zasłyszanyymi od innych gości. Pojawił się w życiu Pisarza tuż przed, a może właśnie w chwili jego największego kryzysu, gdy ten nie mógł już odnaleźć radości z pisania i pogrążał się coraz bardziej w rozpacz, coraz bardziej tracąc zainteresowanie życiem. Gdyby był sam...

Przez te wszystkie lata połączył ich pewien rodzaj szczególnej przyjaźni, takiej nienazwanej, niezaszufladkowanej. Na ogół się wspierali, ale były także i dni, gdy nie mogąc znieść siebie przez dłuższy czas, wzajemnie unikali kontaktu. Mimo to trwali niezłomnie razem, jakby to był jedyny cel ich istnienia. Pisarz nie pamiętał, by kiedykolwiek się poważnie pokłócili, co było dość dziwne, gdyż nie był układnym człowiekiem, a Tom przecież niejednokrotnie źle znosił jego humory. A jednak jakoś w końcu znajdowali wspólny język i zdołali przeżyć we względnej zgodzie kilka dobrych lat. Do czasu.

Pisarz dokładnie pamiętał ten grudniowy wieczór, gdy po raz pierwszy poczuł, że coś jest nie tak. Włoch jak zwykle pracował przy barze. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, gdyż spędzał tu niemal każdą noc, nie skarżąc się na nadmiar obowiązków i – co dziwniejsze – mimo swojego dojrzałego wieku nie wykazując następnego dnia rano oznak zmęczenia. Pisarz rozumiał, że Tom nie miał dokąd się śpieszyć, bo podobnie jak on sam nie miał rodziny, która by na niego czekała po skończonym dniu pracy w kawiarni. Włoch utracił bliskich w niewyjaśnionych okolicznościach i nawet Pisarz nie wiedział, co się właściwie wydarzyło.

Tej nocy przy alkoholu, gdy po zamknięciu kawiarni siedzieli razem przy barze, zapytał Toma o przeszłość. Nigdy nie zapomniał jego wzroku. Oczy Toma pociemniały gwałtownie, a gdy mrok wypełnił je całkowicie, wylał się z nich gwałtownie, wypełniając ciemną mazią wnętrze kawiarni. Pisarz poczuł, jak włosy stają mu dęba na ciele wypełnionym nagle po brzegi strachem. Trwało to tylko chwilę, bo nagle Włoch potrząsnął głową i roześmiał się nerwowo: - Ach, stare dzieje. Nie warto o nich mówić. – Więc nie wspominali o nich już nigdy.

* * *

W słoneczny poranek, kilka miesięcy później, Pisarz kolejny raz dotknął mrocznej natury Toma. Tego dnia zwłókł się z łóżka dziwnie obolały i głodny. Pośpiesznie narzucił na siebie sztruksowe, wytarte już spodnie i ulubioną flanelową koszulę, którą wymiętą wyciągnął ze starej drewnianej szafy, i nieprzytomny powłókł się po schodach na dół do kawiarni. Usiadł w witrynie okna z parującym kubkiem aromatycznej kawy i świeżym maślanym rogalikiem. Powoli dochodząc do siebie, raz po raz pociągał spory łyk z kubka, z nagłym zawstydzeniem zerkając w kierunku sąsiednich stolików przy każdym niechcianym siorbnięciu. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Znudzony i trochę zawiedziony, skierował z powrotem spojrzenie w kierunku ulicy i w ciszy wodził wzorkiem od przechodnia do przechodnia. Gdzie oni się tak śpieszą? – myślał z zazdrością. – Pewnie lecą do pracy – za plecami, a może raczej w swojej głowie, Pisarz

usłyszał głęboki głos baristy, który jakby czytał w jego myślach. – Co za nuda – tym razem Tom mruknął głośno do siebie, jak gdyby nigdy nic wycierając ścierką szklanki do latte.

Pisarz zastygł w bezruchu. Nie mógł mieć pewności, ale czuł całym sobą, że Tom właśnie przekroczył jakąś niewidzialną barierę pozwalającą na zachowanie odrębności każdej żywej istocie. Odrębności, która wydobywała ją z tła, dawała niezależność i prawo do samostanowienia. Leżała u podstawy tożsamości. Bez niej nie było się już jednostką, a stawało się bezwolną masą, podatną na każde zawirowanie, na każdy niechciany wpływ przekształcający ją wbrew woli. Traciło się prawo do własnego poglądu, perspektywy i niezależności. Stawało się nikim. Wrażenie było bardzo silne, ale ulotne, i po chwili Pisarz już nie pamiętał, co tak bardzo go wzburzyło. Przyglądał z roztargnieniem rozczochrane włosy i znów zatopił wzrok w obrazie miasta wyłaniającym się z okiennej witryny, przy której w ten cudownie słoneczny poranek przycupnął z kawą.

Dni mijały jeden po drugim, wszystkie do siebie podobne jak bliźniacze twarze, które jak w kalejdoskopie przesuwały się Pisarzowi przed oczami. Nie miał za wiele do roboty. Pogodził się z nudą i beznadzieją swojej egzystencji. Miał przecież 57 lat i pewność, że właściwie nic już go nie czeka, że przeżył to swoje życie w sposób, którego w większości się wstydził. Bilans wieku średniego zaliczył z bolesnym upadkiem dawnych planów i marzeń. W zasadzie nic z nich nie zostało. Czuł się bezużyteczny, nikomu niepotrzebny i przygnieciony poczuciem winy za zmarnowanie życia sobie i swojej jedynej córce. W głowie jak mantra odtwarzała mu się nieustannie myśl, że jest za stary na jakiejkolwiek zmiany, że możliwości już się przecież zakończyły, a na nowe ambicje było już za późno. Coraz bardziej zrezygnowany, zatapiał się więc w codzienności, która wyświetlała mu w kółko te same obrazy, sprawiając, że dni zlewały się w bezkształtną masę identycznych niemal dźwięków, raz za razem utwierdzając go w poczuciu beznadziei, którą wieczorami koił szlachetnym alkoholem z odrobiną zadymionego jazzu.

Gdy podczas jednej z takich samych wczesnych nocy kiwał się półprzytomnie nad szklaneczką whisky, jego już mętne myśli ożywiło pytanie, na które nie potrafił znaleźć odpowiedzi: ile lat ma Tom? Pisarz złapał się na tym, że tak naprawdę tego nie wie, ponieważ wygląd Włocha wcale nie ułatwiał mu zadania. Barman zachował kruczoczarne, lekko siwiejące na skroniach włosy, wyprostowaną sylwetkę, nieco wprawdzie korpulentną, ale ten niewielki wzrost i nalana, przyjazna twarz nadawały mu młodzieńczy wygląd. Jego żywe usposobienie i specyficzne poczucie humoru wzbudzały zaufanie klientów. Nie był zbyt wylewny, ale i tak lubili rankami przychodzić na kawę, by przez krótki moment wymieniać z baristą codzienne uprzejmości i po chwili znów ruszyć do swoich obowiązków. Niektórych barista zapraszał na wieczornego darmowego drinka i na dłuższą konwersację w barze. Niektórzy z tego korzystali.

* * *

W grudniowy poranek, który należał do tych chwil, w których Pisarz miał wrażenie, że znajduje się w pomieszczeniu z zupełnie inną, nieznaną mu i złowrogą postacią, które niespecjalnie lubił, a które stawały się ostatnio coraz częstsze, Tom jak na swoje standardy był niezwykle rozmowny. Pisarz czuł jego podniecenie i uśmiech, który nie schodził mu z twarzy. Co prawda Włochowi czasami zdarzały się przypiły dobrego nastroju, ale nie były zbyt częste. Zazwyczaj starał się je wtedy ukrywać pod maską codziennej uprzejmości. Tym razem było inaczej. Podniecenie Toma było niemal wyczuwalne.

– Coś ty taki rozćwierkany – zapytał Pisarz. – Szczerysz zęby z jakiegoś konkretnego powodu? Wygrałeś w Lotto?

– A żebyś wiedział – odburknął wesoło Tom i zaczął pogwizdywać, czyszcząc ekspres.

– Koniec świata – mruknął Pisarz pod nosem

– A żebyś wiedział – uśmiechnął się szeroko Tom.

Pisarz poczuł się nieswojo. Coś zaniepokoiło go w głosie przyjaciela. Przyjrzał mu się uważnie. Tom, napędzany jakąś dziwną energią, uwijał się za barem jak w ukropie.

Czyścił szklanki, przecierał blaty i pogwizdując wesoło, wycierał co chwilę mokre ręce w białe fartuch. Pisarzowi wydawało się, że to pogwizdywanie jest jakby o ton wyższe niż zwykle, że słyszy w nim złowrogie nuty, jakby echo tamtego wieczoru w barze, gdy zapytał Toma o jego rodzinę. Potrząsnął głową zdezorientowany i skierował wzrok z powrotem na ulicę, opierając ciężko łokcie o kawiarniany stolik.

Grudzień tego roku obchodził się dość łagodnie z ich miastem. W dzień ulice były szare, czasem skąpane w deszczu, rzadko zmrożone lodem i szarpane śnieżną zawieruchą. Kolejne dni miały więc leniwie jeden za drugim, bez żadnych niespodzianek. Zegar z pobliskiego kościoła dziś także, swoim stałym zwyczajem, wybił dwunastą w południe. Kawiarnia powoli się zapełniała. O tej porze przychodziły do niej matki z małymi dziećmi, czasem też zaglądali ojcowie, wszyscy zgodnie robili sobie przyjemną przerwę od zgiełku placu zabaw mieszczącego się w pobliskim parku. Łączyli zwykle stoliki i pijąc kawę, tonęli w miejskich ploteczkach. Pisarz lubił im się przyglądać, zwłaszcza ojcom, którzy zwykle mieli duży kłopot, by nadążyć za toczącą się rozmową, więc nieobecni wodzili wokół znudzonym wzrokiem. Nie byli zainteresowani. Pisarz był. Te ciekawe, często trywialne opowieści poruszały w nim jakąś tęskną nutę, podsycaly tłący się w nim, zapomniany płomień inspiracji. Czuł jego przyjemne ciepło, gdzieś głęboko w duszy rozbrzmiewał nagle ulotny szept tej sprawczej iskry, jednak nie na tyle wyraźny, by wzniecić ogień, uwolnić siłę, która popchnęłaby go znowu do pisania. Mimo to grzał się w jego cieple, czując radość, drżeniem rozchodzącą się po całym ciele. Nie rozumiał, czemu Toma ta klientela nie poruszała. Przyglądał się jej obojętnie, jakby nieobecny. Ożywiał się dopiero wieczorem. Nocni goście budzili go, wyciągali z dziennego letargu, wywołując błyski zainteresowania w czarnych oczach. Wtedy ze wzmożoną energią angażował się w ich rozmowy. Tak, Tom zdecydowanie należał do nocy.

* * *

Tego wieczoru lokal był pełen. Tom jak zwykle uwijał się za barem, nalewając drinki i podając gościom przekąski. Uwielbiał tę porę dnia. Czuł każde drgnienie

powietrza, każdy oddech gości, rytmiczne bicie ich serc. Ten gwar głosów, brzdęk szkła, szmer muzyki i przytłumione westchnienia były muzyką dla jego uszu. Żył, czuł, oddychał ich energią. Odżywiała go, koła, a on wysysał jej każdą drobinę, pozwalając by go wzmacniała, budowała jego siłę. Będzie jej potrzebował, bo cykl się już zamykał. Pozostało niewiele dni do końca roku – kończył mu się czas.

Barman był bardzo stary. Nawet on nie potrafił określić jak bardzo. Niewiele rzeczy jeszcze go obchodziło czy poruszało. Widział za dużo. Prawie nic nie czuł. A jednak ta nocna atmosfera baru wsiąkała w niego jak dym papierosowy, umiejętnie poruszając ciemne struny w jego wnętrzu.

Na pozór znudzony, z przyklejonym uśmiechem na ustach, spod półprzymkniętych powiek wnikliwie obserwował gości. Nocni bywalcy. Było w nich coś znajomego i zarazem mrocznego. Jedni przegrani, pogodzeni z losem, inni ciągle rozpaczliwie próbujący utrzymać się na powierzchni życia. Jeszcze nie wiedzieli, że toną. On wiedział, ich barman, ich powiernik.

Około północy wybierał jednego z nich. Przysiadał się od niechcienia do stolika, zagadywał nieszczęśnika i potem słuchał. Słuchał historii o nieudanym życiu, o utraconej miłości, o nadziejach i pragnieniach, które nigdy się nie spełniły. Żywił się ich bólem, wzmacniał krzywdą, pogrążał się z lubością w czarnej otchłani rozpacz. Na pozór oddany słuchacz, grzał się w ludzkim nieszczęściu niczym zmarznięty ptak nocy. A oni karmili go swoimi opowieściami, swoim życiem. Nie wiedzieli, że dosłownie. Każdy z tych nieudaczników czuł ulgę i wdzięczność. Kogoś wreszcie obchodzili. Ktoś poświęcał im czas i przez krótki moment był tylko dla nich. Opowieść, raz uwolniona ze zniszczonego życiem ciała, wyrwała się na wolność, jak barwny ptak wypełniała zachłannie przestrzeń między mówiącym a słuchaczem. Wzlatywała w powietrze i zastęgała w nim nagle, jakby niezdecydowana. A gdy już miała wracać do właściciela, niespodziewanie pochwyciona, tonęła w otchłani oczu baristy.

Po tej dziwnej spowiedzi goście czuli ulgę. Ich ciało wypełniała błoga cisza, nic już nie było ważne. Historia ich życia raptem straciła na znaczeniu. Już nie bolała. Tak jakby jej nie było. Zamiast cierpienia pustka wypełniła wreszcie szkielet ich ciał.

A barman siedział wpatrzony w swoją ofiarę niczym nienasycony drapieżca. Spijał te historie jedna po drugiej, zamykał w menzurkach i chował w najgłębszych zakamarkach swojego umysłu. Kiedy już się nasycił, wstawał od stolika, zostawiając nocnego gościa z błogością na twarzy i pustką w duszy. Jego oczy, niegdyś wypełnione rozpaczą, mętniały dziwną nieobecnością, jakby tam, po drugiej ich stronie, nie było już nikogo.

* * *

Od owego pamiętnego grudniowego poranka Pisarz nie mógł znaleźć sobie miejsca. Ciągłe odtwarzał w pamięci rozmowę z Tomem. Niepokoiła go. Czuł nieprzyjemne uczucie w ciele i strach przed czymś nieokreślonym, mrocznym, co dopiero miało nadejść. – To absurd – powtarzał sobie w myślach. – Znam Toma od lat, to wspaniały facet! – mruczał do siebie. – No dobrze, czasem trochę dziwny i patrzy na klientów tak z ukosa. Może i mrukliwy, ale to złoty człowiek przecież – uspokajał się po chwili.

Zimowe dni miały leniwym rytmem. Pisarz codziennie o stałej porze siadał przy stoliku ustawionym w okiennej witrynie, pił aromatyczną kawę i śledził przebiegających przed nim przechodniów. Jednak nie mógł się pozbyć tego dziwnego uczucia niepokoju. Stale już spod wółprzymkniętych powiek przyglądał się Tomowi. Podświadomie czekał, aż coś się wydarzy, coś, co uzasadniłoby to przedziwne uczucie, które nie chciało go opuścić. Nie zauważył jednak nic niepokojącego. Nic też się nie zmieniało w ich codziennej rutynie. Ranki wypełniali im śpieszący się do pracy podróżni, południa – matki z dziećmi i zagubieni gdzieś ojcowie, noce zaś należały do rozbawionych młodzików i takich jak on utrudzonych życiem wędrowców.

Któregoś wieczoru Pisarz zasiedział się w kawiarni. Czuł zmęczenie po dniu pełnym spotkań z bankami i prawnikami. Biznes nie szedł tak, jakby sobie tego życzył.

Zamów ebook już teraz:

[My Book](#)



